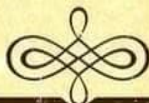


NORBERT GRZEGORZ KOŚCIESZA



DZIELNICA CUDÓW

◆ • Nasz PRL, lata 80 • ◆



*„Książka fascynująca, jak czasy,
w których żyli jej bohaterowie”*



DZIELNICA CUDÓW

NASZ PRL, LATA 80

NORBERT GRZEGORZ

KOSZĘCA

Copyright © Norbert Grzegorz Kościesza
Copyright © Męskie Wydawnictwo N-Kort
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja i korekta:
Anna Siwa

Skład i łamanie:
Anna Siwa

Projekt okładki:
Ewelina Rokosa „Graphika”
[Instagram.com/graphika.fizart](https://www.instagram.com/graphika.fizart)

Zdjęcie na okładce:
Zbiory własne autora

Druk i oprawa:
Drukarnia Wielkopolska Sp. z o.o.
ul. Dziewińska 41, 60-178 Poznań

Wydawnictwo:
Męskie Wydawnictwo N-Kort

Numer ISBN 978 83 953782 0 1

**Książkę dedykuję mojemu zmarłemu bratu Tomaszowi, mojej rodzinie,
wszystkim przyjaciółom, kolegom i znajomym z dzielnicy, którzy
rozjechali się po kraju i całym świecie. A niektórzy odeszli od nas na
zawsze. Publikację dedykuję także ludziom z mojego miasta i tym
z was, którym przyszło wychować się w czasach PRL-u.**

Wstęp

„Dzielnica Cudów” – jest publikacją, która ma wywołać wiele emocji u czytelnika, zwłaszcza u tych osób, które pamiętają tamte lata i okres swego życia. Książka ma sprawić, że odbiorca będzie czuł radość, będzie się śmiał, płakał i obudzą się w nim wspomnienia lub pomyśli o tym, jak żyli ludzie w tamtych, nie tak dawnych przecież, latach.

Na samym wstępie chciałbym zaznaczyć, że publikacja nie jest niczym biografią, choć mogłaby być moją lub wielu z moich kolegów. Osobiście mógłbym zostać jednym z bohaterów, bo moje dzieciństwo w ubogiej i wielodzietnej rodzinie, także nie należało do najłżejszych. Tak jak dzieciństwo sporej ilości moich kolegów, przyjaciół i innych dzieciaków z tej i sąsiednich dzielnic.

W książce przedstawiam, jak funkcjonowała i bawiła się młodzież w czasach schyłkowych PRL-u. Jak wyglądały nasze zwykłe dni i święta, zabawy na podwórku i pobyt w szkole. A wszystko to w czasach stanu wojennego, okresu przejściowego, aż do pierestrojki Balcerowicza. Gdy o wszystko trzeba było zawalczyć i wszystkiego brakowało. Polityka wtedy nikogo z nas nie interesowała, mieszkańcy żyli swoimi problemami. Tu nikt albo prawie nikt z dorosłych nie wylewał za kolan, wulgaryzmy były powszednie jak chleb, a przyjaźń droższa od pieniędzy, których i tak wielu nie miało. Większość dorosłych pracowała w jednym, najbliższym i największym zakładzie. Zakupy robiono na dzielnicy, w której mieliśmy wszystko, czego było nam i naszym rodzicom potrzeba. A wyjazd do

największego miasta w regionie, był dla nas wielką przygodą. W wakacje, dzięki temu, że rodzice pracowali w dużej fabryce, niektórzy jeździli na kolonie nad morze. A wolny czas w innym okresie, spędzaliśmy, rozrabiając na dworze i dając się we znaki wszystkim dookoła.

Publikacja powstała, by pokazać czytelnikom, jak wyglądał dawniej świat, w którym wielu z nas przyszło spędzić pierwsze lata swego życia, dzieciństwo i młodość. To opowieść oparta na faktach, na opowiedzianych historiach i przeżytych wydarzeniach, które miały miejsce w tamtym czasie na mojej dzielnicy, a ja byłem świadkiem wielu z nich.

W końcu sama publikacja ma przede wszystkim bawić i śmieszyć. Proszę jednak pamiętać, że dziś wielu z tych bohaterów to stateczni, poważni dorośli ludzie. Ojcowie i matki, a czasami już dziadkowie, którzy wtedy nie grzeszyli grzecnością. Do samej dzielnicy i mojego miasta rodzinnego, ja i moi przyjaciele wracamy nie tylko we wspomnieniach, ale często jesteśmy tam gośćmi.

Bohaterami tej książki, będą ludzie z mojej dzielnicy, to będzie opowieść o nich, ale głównymi postaciami, są moi trzej przyjaciele: Anastazy, Stefan i Jerzy, którzy byli prowodyrami zabaw, bójek i wszystkiego, co w tym czasie działo się w tamtej okolicy. Nie każda przygoda i historia przydarzyła się im osobiście, ale opowieści zebrane z tamtego okresu, przypisałem do nich trzech, tak było łatwiej.

Stefan był najstarszy z całej trójki, a Anastazy najmłodszy, Jurek pomiędzy. Dzielił ich rok różnicy, a łączyło bardzo wiele.

Postaram się opowiedzieć tę historię z perspektywy narratora, który czasami wtrąci tu i ówdzie swoje trzy gorsze, a głównym bohaterem uczynię Jerzego. On był moim rówieśnikiem, razem chodziliśmy do przedszkola i podstawówki. I dlatego, że znam go najlepiej z całej trójki i to głównie jego opowieści zainspirowały mnie do napisania tej publikacji i oddania ducha dzielnicy. Dzielnicy, której wiele podobieństw można znaleźć w tysiącach takich samych miast i miasteczek w całej Polsce z okresu PRL-u.

Nie doszukujcie się tutaj chronologii wydarzeń, bo oprócz tego, że opowieść umiejscowiona jest w latach osiemdziesiątych, to każda próba przypisania, jakiegoś okresu tamtym wydarzeniom, nie miałaby sensu. Zbyt dużo się działo, zbyt intensywnie, by spamiętać i zapisać szczegółowo tamten czas, zwłaszcza idąc chronologicznie, miesiąc po miesiącu. Węc oprócz niektórych oczywistych wydarzeń, pamiętajcie, proszę, że historie te wydarzyły się między rokiem 1980, a 1989. Zakończyła je zaś, pierestrojka Balcerowicza i jego sto jedenaście dni „reform”.

Słowniczek

Dla wielu pamiętających tamten czas, słowniczek będzie zbędny, ale by przybliżyć książkę młodszemu pokoleniu, załączam słownik, który ma jak najwięcej oddać realia lat 80. Znajdziecie w nim także wiele innych określeń i nieznanymi większemu gronu słów.

Alba (łac. vestis alba – biała szata) – długa, biała szata liturgiczna. To szata o długich rękawach, sięgającą do kostek, wywodzącą się ze starożytnej tuniki.

Babeta – Babetta, Jawa Babetta – motorower wyprodukowany w Czechosłowacji w firmie Považské strojárne w Považskiej Bystricy. Na rynku pojawił się pod nazwami Jawa, FreeWheeler, Nippy, Breeze .

Blondyna – milicyjna pałka służbowa koloru białego.

СССР – przez wszystkich w tamtym okresie skrót tłumaczono jako „Сеп Сера Сепем Pogania”, a w rzeczywistości to Союз Советских Социалистических Республик, czyli Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Cingulum – pas lub gruby sznur z frędzlami na obu końcach, używany przez duchownych i usługujących w kościołach chrześcijańskich, jako element stroju liturgicznego. Służy do przewiązania w pasie alby lub habitu. Nazwa wywodzi się od łacińskiego słowa *cingulum*, oznaczającego pas żołnierski lub pas urzędniczy.

Coach – trener.

Czyn społeczny – w okresie PRL-u były to nieodpłatne prace, wykonywane na rzecz społeczeństwa, zwykle w dni wolne, np. w sobotę. Czyny społeczne organizowane były przez zakłady pracy, szkoły itd.

Dewizowi goście – osoby płacące zagraniczną walutą – markami, dolarami, funtami itd.

Do mamra – do pierdła – do więzienia.

Dyskalkulia – zaburzenie rozumienia idei matematycznych.

Dysleksja – trudności w płynnym czytaniu, często połączone z trudnościami w pisaniu.

Dysortografia – trudności z opanowaniem poprawnej pisowni, mimo znajomości zasad ortografii.

Dykta – denaturat.

Fanty – skradzione rzeczy.

Fidel – Fidel Castro, kubański przywódca i rewolucjonista, rządzący do 2008 roku Republiką Kuby.

Gra w państwa-miasta – inna gra niż ta na kartce papieru. Wyjaśnienie i zasady w rozdziale „Jurek i Jastrząb”.

Jamnik – dwukasetowy radiomagnetofon – przenośny sprzęt muzyczny, zasilany z baterii lub sieci elektroenergetycznej. Zawierał prosty magnetofon kasetowy, tuner radiowy, wzmacniacz i głośniki. Zwykle posiadał także wbudowany mikrofon do rejestrowania dźwięku.

Kasety - kaseeta magnetofonowa zawierała taśmę magnetyczną i przeznaczona była do magnetofonów kasetowych, do odtwarzania nagranych na niej dźwięków, tutaj muzyki.

Kielnia – kieszeń.

Kacapy – Rusczy.

Kartki żywnościowe – bony bądź kupony, uprawniające do nabycia określonych towarów w PRL-u, w którym obowiązywała reglamentacja towarów.

Klamot – nos, kichawa.

Klej – namiętna i gorąca dziewczyna.

Kocie łby – kamień polny, niegdyś stosowany zamiast kostki brukowej.

Kolnierzyk ministrancki – pelerynka – jest szatą nakładaną przez ministranta na komżę. Pelerynka nie jest używana, gdy wykorzystuje się albę. Jej kolor odpowiada kolorowi szat liturgicznych.

Komża – szata liturgiczna w rycie rzymskim; skrócona alba o szerokich rękawach. Komża jest białego koloru.

Kosa – nóż, scyzoryk.

KZPB – Kudowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego.

Lampy elektronowe – element elektroniczny czynny, składający się z elektrod umieszczonych w bańce z wypompowanym powietrzem lub gazem pod niewielkim ciśnieniem. Dzieliły się na diody (2 elektrody), triody

(3 elektrody), tetrody (4 elektrody), pentody (5 elektrod), heksody (6 elektrod), heptody (7 elektrod) itd.

Lampy kineskopowe – bardziej znane jako kineskopy, lampy obrazowe – lampa elektronowa wyposażona w ekran, na którym możliwe jest wyświetlenie obrazu za pomocą wiązki elektronów.

Łypa – twarz, ryj.

Miał – to pełnoprawny węgiel, najdrobniejsza frakcja kopalnianego urobku (1-31,5 mm) w stanie nieomal takim, jaki wyjechał spod ziemi. Przytoczone w skrócie za profilem „Czyste ogrzewanie” Miał paliło się w piecu w stanie wilgotnym.

Mnemotechnika – trening pamięciowy.

Ogonek – kolejka.

Ogórek – Jelcz 043 – polski autobus, produkowany w latach 1959–1986 przez przedsiębiorstwo Jelcz. Model stanowił licencyjną odmianę czeskosłowackiego autobusu Škoda 706 RTO. Z powodu swojego wyglądu zwany był potocznie ogórkiem.

Opinacze – buty wojskowe, z klamrami.

Ortaliony – dresy ortalionowe królowały w latach 80 i 90 szyte z ortalionu – tkanina z włókna poliamid-6 (znanego jako nylon-6) wykorzystywana do szycia odzieży wierzchniej: kurtek i płaszczy, a także używana do celów dekoracyjnych. Jest nieprzepuszczalna i chroni przed wiatrem i zimnem.

OSiR – Ośrodek Sportu i Rekreacji.

Pal gumę przypale” – spadaj, idź stąd debilu.

Pałeczka – najładniejsza dziewczyna w klasie, bardzo ładna dziewczyna.

Pały – milicjanci.

Patena komunijna — najczęściej wyposażona w uchwyt patera, trzymana przez ministranta pod brodą wiernego przyjmującego Komunię Świętą.

Pepik – Czech, fryzura na Czecha, na czeskiego piłkarza – dłuższe włosy, przycięte po bokach, a z tyłu na karku długie „pióra” do ramion.

Pewex - Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego – sieć sklepów i kiosków walutowych w PRL. Powstało ono w 1972 roku z przekształcenia sklepów dewizowych banku PKO, w których można było kupić za waluty wymienne towary, niedostępne w innych sklepach. Marka Pewex była w czasach PRL synonimem towarów luksusowych.

PGR – Państwowe Gospodarstwo Rolne.

Pierestrojka Balcerowicza – tak nazywano reformy wprowadzone przez ministra finansów w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, Balcerowicza. Swoj plan na reformy przedstawił już w październiku 1989 roku, aby wprowadzić go w życie 1 stycznia 1990 roku.

Pióra – włosy.

Princ – brzydal.

Prodiż – sprzęt kuchenny, składający się z metalowego naczynia oraz pokrywy wyposażonej w wizjer, zasilany i ogrzewany prądem (rzadziej

gazem), służący do pieczenia ciast i mięsa. W Polsce popularne były przed rozpowszechnieniem piekarników elektrycznych, zwłaszcza w latach 80-tych.

Reglamentacja towarów w Polsce Ludowej – system kontroli dystrybucji towarów w PRL-u, obowiązujący w latach 1944–1949, 1951–1953 oraz 1976–1989, będący wynikiem silnych niedoborów na rynku i polegający m.in. na wydawaniu ludności kartek, które uprawniały do zakupu ściśle określonych ilości wyznaczonych produktów, przede wszystkim żywnościowych.

Rower Ukraina – marka rowerów produkowanych od lat 60-tych, aż do początku 90-tych. Rowery miały ramę męską, stalową, koła – 28 cali i kierownicę typu jaskółka. Charakteryzowała go bezwładność, co oznaczało długie rozpędzanie i hamowanie. Ukraina cechowała się trwałością i niezawodnością, problem stanowił niezbyt staranny montaż w fabryce, co wymagało rozebrania nowego roweru i ponownego skręcenia.

Stan wojenny - wprowadzony 13 grudnia 1981 roku do roku 1983, na terenie całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Został zawieszony 31 grudnia 1982 roku, a zniesiono go 22 lipca 1983 roku. W trakcie jego trwania internowano łącznie ponad 10 tysięcy działaczy związanych z „Solidarnością”, życie straciło około 40 osób, w tym 9 górników z kopalni „Wujek” - podczas pacyfikacji strajku. Same opinie o wprowadzeniu stanu wojennego są różnorakie. Tak wtedy, jak i dziś miał on swoich przeciwników i zwolenników. Jedną z teorii jest to, że gdyby niewprowadzenie stanu wojennego, do PRL-u weszłyby Armia Czerwona i wojska czeskosłowackie, a także być może NRD. 1 grudnia 1980 władze ZSRR przekazały gen.

Tadeuszowi Hupałowskiemu i płk. Franciszkowi Puchale plany wkroczenia wojsk radzieckich do Polski, w ramach ćwiczeń „Sojuz 80”. Gotowość operacyjną do przekroczenia granicy wyznaczono na 8 grudnia 1980. Według meldunku płk. Kuklińskiego dla CIA z początku grudnia [13] do Polski miało wtedy wkroczyć 18 dywizji wojsk Układu Warszawskiego (15 radzieckich, dwie czeskosłowackie i jedna NRD-owska), które po chwilowym pozorowaniu manewrów z ostrą amunicją miały ulec przegrupowaniu i otoczyć większe polskie miasta i ośrodki przemysłowe. Polskie wojska miały początkowo pozostać w koszarach, ale potem cztery dywizje LWP włączyłyby się do operacji. W gruncie rzeczy mogło to doprowadzić do wojny, więc stan wojenny był mniejszym złem. 13 grudnia obwieścił go w wystąpieniu telewizyjnym gen. Wojciech Jaruzelski.

Suka – milicyjna suka, czyli samochód Nysa, przystosowany dla milicji i wojska z odsuwanymi bocznymi drzwiami, umożliwiającymi desant załogi. Pejoratywna nazwa nadana milicyjnym Nyskom w czasach PRL-u.

Szaber – na dzielnicy, potocznie kradzież, w słownikach oznacza proceder przestępczy, polegający na grabieży mienia pozostającego bez opieki.

Szwej – żołnierz.

Witki – ręce, kończyny.

W mamrze – w zakładzie kamnym.

WOP – Wojska Ochrony Pogranicza.

Wygibus – osoba dziwna.

Zawrzyj bardache – zamknij się.

Zefirki – mentolowe papierosy z czasów PRL-u.

Zemsta Radkowa - takie lokalne piwo z Radkowa, z lokalnego browaru, już nieistniejącego, które oficjalną nazwę miało inną, ale każdy znał je jako *Zemstę*, po której się w cabankach (w głowach) kręciło.

Ził – Sowiecki, a później Rosyjski samochód ciężarowy.

ZPT – zajęcia praktyczno-techniczne.

ZSRR – Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

ZOMO – Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej.

Zrobić coś z partyzanta – zrobić coś nagle, niespodziewanie.

ZSMP – Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej – stowarzyszenie utworzone w 1976 roku, zrzeszające młodzież w wieku 15–35 lat. Poprzez Związek, młodzież zaspokajała swoje kulturalne, edukacyjne i socjalne potrzeby. ZSMP działała na rzecz poprawy warunków startu życiowego młodzieży oraz umożliwienia jej awansu społecznego i zawodowego.

Źródółko – gospoda, piwiarnia, melina.

Szwedzki dialog stworzony na potrzeby publikacji:

Jag är kär i dig – Jestem w tobie zakochana.

Du betyder så mycket för mig – Znaczysz dla mnie tak dużo.

Du ser jättebra ut – Wyglądasz świetnie.

Du har så vackra ögon – Masz takie piękne oczy.

Jag skulle vilja lära känna dig bättre – Chciałabym cię lepiej poznać.

Sugen på kaffe? Jag vet ett bra ställe – Masz ochotę na kawę?

Znam dobre miejsce.

Jag vill ha dig – Pragnę cię.

älskade – kochany.

Nasz PRL

Życie w PRL-u upływało nam beztrąsko, byliśmy dziećmi i młodzieżą lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. W erze bez „kompiutrów” i „laptoli” tabletek oraz innych takich dziwnych urządzeń. Prawie nikt nie miał na dzielnicy telefonu stacjonarnego, a smartfon to była wizja starszaka Lema, faceta od fantastyki. Nowoczesna technika istniała w filmach z *panem Kleksem*, zwłaszcza w części o *Wielkim Elektroniku*. Oglądaliśmy: *Czterech pancernych*, *Kapitana Klossa*, *Trzech Muszkieterów*, *Janosika* i jeszcze kilka innych seriali oraz filmów. Nie można też przeoczyć filmu *Gang Olsena*. Zarówno na mnie, jak i na wielu innych, wywarł olbrzymi wpływ i nie chodziło o to, że chcieliśmy być jak jego przygłupi bohaterowie - *Egon Olsen*, *Benny Frandsen*, *Kjeld Jensen* i jego żona *Yvonne Jensen* – kto ich dziś pamięta? Ale dzięki temu filmowi, moi koledzy, razem z innymi małolatami, stworzyli gang z Dzielnicy Cudów, na której wszystko było możliwe. Nie był to jednak gang Olsena, a Stefana i w odróżnieniu od filmowych bohaterów, rozrabianie wychodziło im całkiem niezłe.

Zacznijmy jednak od początku. W czasach, gdy dzieci bawiły się na podwórku, na dworze lub na polu, gdy ojciec nie żałował pasa, jak się coś zbroiło i matka nie dała kolacji, jak spóźniliśmy się do domu albo po prostu zabrakło, bo rodzeństwo zjadło. Gdy pod każdym sklepem stał jakiś drobny pijacek, który znał wszystkich w okolicy, a cała okolica znała jego. Nikomu nie wadził ani rodzicom z małymi dziećmi, ani nawet milicji. Za to zawsze w szczerbatym uśmiechu, rozczochranymi włosami i kilkudniowym

zarostem, a zimą to nawet z gilem wiszącym do pasa, jak u Eskimosa. Wtął się z każdym, sepleniąc przy tym.

– Dzi-enn-dobly, kulffa, a-lee zzi-zi-mno co, so-so-siedzie?

I prosił, trzęsąc się cały jak galareta ze świńskich nóżek, o złotówkę lub dwie. Bo brakowało mu do browarka albo do wina marki *Château de la Tur*, czyli zwykłego siarczanego sikacza za parę złotych, który miał zazwyczaj czerwoną etykietę z głową byka.

Gdy nasi rodzice pracowali na różne zmiany i dzieci zostawały same bez opiekunek, a najstarszy z rodzeństwa miał „przyjemność” zastąpić ich w obowiązkach. Gdy co niedziela trzeba było pójść do kościoła, by sąsiad wiedział, że obok nie mieszkają komuniści, jakby ktokolwiek z nas wiedział wtedy, kim oni są, a przecież mieliśmy po kilka, kilkanaście lat, a polityka nas nie interesowała. Gdy ksiądz w kościele puszczał religijne filmy na wielkim rozwieszonym przed ołtarzem płótnie, bo nikt z nas nie miał video, a era DVD, VOD, HBO i Netflixa była czarną magią i miała nastąpić znacznie później.

Tak dla wyjaśnienia.

Ksiądz puszczał filmy w kościele, bo często, zamiast iść na msze dla dzieci, uciekaliśmy całymi gromadami do kina Capitol. Tam za czerwonego piąta, który miał być przeznaczony na tańce, kupowaliśmy bilety na *Teleranek*, bajki *Disneya* lub *Balka i Lolka*. W telewizji leciały tylko wieczorynki na TVP1 i tylko o dziewiętnastej, a programy były dwa, chyba że ktoś mieszkał przy granicy, to łapał jeszcze kolejne dwa kanały - czeskie. W niedzielę były filmy „*Wstarym kinie*” i westerny w sobotę.

Gdy Ameryka i Niemcy byli wrogami, a kacapy* to byli nasi najlepsi przyjaciele. Chcąc zostać jednym z czterech pancernych, trzeba było zaadoptować na czołg kontener na śmieci, który miał sześć wjazdów i był znacznie większy od filmowego „Rudego”, ale za to w jego wnętrzu unosił się taki sam, ciężki zaduch, że o „pancernym” zapachu nie wspomnę. Gdy Szarikiem zostawał złapany naprędce podwórkowy przybłęda, którego przywiązaliśmy do naszego kontenera, o przepraszam, wróć, do naszego czołgu.

Gdy w zimie bawiłem się z kolegami na dużym i małym Budzynie, zjeżdżając na sankach. Kiedy do domu wracaliśmy z mokrymi dupskami, zmarznięci i ze śniegiem w kieszeniach. Gdy na rzece rozbijaliśmy krę i któryś wrypał się do wody, a na rozgrzewkę w domu dostawał manto, na drugi dzień szedł do szkoły i nikt nie był chory.

Gdy przez cały rok bawiliśmy się w pobliskich krzakach, chodziliśmy na szaber, łowiliśmy pstragi w strumieniu za górkami, biliśmy się, aż z nosów lała się krew, a dziewczyny wrzucaliśmy do naszej rzeki i strzelaliśmy do siebie z procy.

Tak mijały nasze beztroskie dni.

Dzielnica

Ale, aby poznać lepiej Dzielnicę Cudów, muszę też troszkę wam ją przybliżyć.

Otóż na dzielnicy możliwe było wypicie wina pędzonego na tytoniu i dykie*, które sprzedawał Czarnul z kamienicy nr 25. Można było dostać niespodziewanego strzała w pysk, w którejś z bram naszych domów. Możliwe było zrobienie ogniska nad rzeką Klikawą, która płynęła przez naszą dzielnicę od strony gór w stronę czeskiej granicy, wzdłuż międzynarodowej trasy E12, którą zwano wtedy *Słowińskim szlakiem*, a dziś jest zwykłą krajową ósemką. Kiedyś rzeka nieuregulowana, z czego jako dzieciaki bardzo się cieszyliśmy, kąpaliśmy się tam i wyprawialiśmy harce, łowiliśmy pstragi i budowaliśmy tamy, a z procy strzelaliśmy do wszędobylskich szczurów. Nie potrzebny był nam basen, który był daleko. Za daleko, bo trzeba było drałować na piechotę na drugi koniec miasta, za daleko też na tak zwany Meksyk, czyli inną, podobną do naszej dzielnicę, ale za to z basenem i jeszcze dalej do innego miasteczka. Do miasteczka, w którym urodziła się Violetta Villas, a którą moja prababcia nazywała *Pupelasią*, a to z powodu tego, że gdy Czesława – takie prawdziwe imię miała Villas – szła paść krowy, to zawsze była wymalowana, wypacykowana, a krowy jej na wypasie ginęły. Ot, Czesia śpiewała gdzieś na łąkach, a biedne bydłałka szły w las. Ludzie zaś, jak to ludzie, stukali się wtedy w czoło, że coś z nią nie halo i kiwali z politowaniem głowami. Dziś jednak muzeum otworzyli dla krajanki, z której wtedy większość się śmiała.

Fakt, jednak dla nas istotny jest taki, że w tym miasteczku, a raczej wsi, czyli w Lewinie Kłodzkim, mieli poniemiecki basen, w którym kiedyś kąpały się małe szkopy z *Hitlerjugend*.

Na naszą „plażę” przy ulicy Głównej tam, gdzie piekarnia, przychodziło sporo rodzin, dzieciaki z Tkackiej i Gagarina (nie wiem, czy wciąż ta nazwa funkcjonuje?). Tętniło życie nad rzeką, aż w końcu jakiś „mundry” urzędnik postanowił wyregulować jej bieg, wyciąć drzewa i zbudować mur wzdłuż brzegów.

Na dzielnicy był także dworzec PKS, a raczej zatoczka, gdzie zajeżdżały autobusy. Ozdabiały ją dwa potężne kasztany, które pięknie kwitły w maju. Tętniły owadziim i ptasim życiem i każdy nam ich zazdrościł, gdyż na jesień dawały kolczastą amunicję do podwórkowych bitew. Był również dworzec PKP, gdzie przez cały dzień i noc działały aż dwie kasy biletowe. Z PKP najbardziej pamiętam poczekalnię, która tętniła nocnym życiem oraz zaszczane kible, których samo wspomnienie zapachu do dziś przyprawia mnie o mdłości. Kibelki były w rodzaju dwa stopnie na nogi i dziura w ziemi – jak to się mówi – na narciarza lub na Małysza.

Na PKP też mieliśmy zabawę, obrzucaliśmy pasażerów pociągu surowymi jajami, a w zamian można było dostać jajem, ale na twardo. W Dzielnicy Cudów było wszystko, co potrzebne nam, małodatom i naszym rodzicom. Był tu bar piwny, którego nazwy nie pamiętam, a był na dawnego Świerczewskiego, gdzie teraz mieszkają starzy Balona. Rzeźnia, gdzie już o dziesiątej można było kupić jedynie kości ze szpikiem, na których gotowano zupę. Był kiosk RUCH-u i piekarnia, z której co rano budził nas zapach świeżego pieczywa. Pachniało świeżutkim chlebkiem tak, że aż

kiszki marsza grały, a bułki można było dostać za przyniesienie kilku fajek piekarzowi lub za podrzucenie browarka z meliny albo zwyczajnie stukając w szybkę. Piekarze, widząc nasze dziecięce spojrzenia, w stylu *kota w butach ze Shreka*, dawali po kilka bułek każdemu z nas.

Ponadto na dzielnicy działały: poczta, sklep spożywczy „U Marysi”, gdzie z samego rana było słycać głośny brzęk szklanych butelek z mlekiem, śmietaną i kefirem. A także warzywniak pod kamienicą nr 29. Na dzielnicy była też apteka, PEWEX i dwie oficjalne cudowne meliny.

W zwykłe dni bywało głośno i gwarno, już wczesnym rankiem można było usłyszeć stukot butów na brukowanej ulicy, ludzi idących do pracy w największym zakładzie w mieście. Czasami był to odgłos wojskowych opinaczy*, żołnierzy WOP-u*, zwłaszcza w stanie wojennym, którzy pilnowali dworca PKP i PKS.

Nie byliśmy grzecznymi dzieciakami, a zabytkowe kamienice na mojej ulicy, drżały od naszych krzyków i mocnego tupotu małych stóp. Zwiedzaliśmy stare piwnice i strychy, znajdowaliśmy ponemieckie monety, gazety i inne gadżety. Niektóre mam do dziś, a może miałem...

Biegaliśmy po PKP, wzdłuż peronów i po torach, za co ścigali nas funkcjonariusze SOK-u. Wtedy maszyniści parowozów chowali nas przed nimi, do parowych lokomotyw i pokazywali, jak one działają. Czasami udało się taką ciufcią przejechać, gdy przetaczano ją do kolejnej trasy. A gdy nie było sokistów, chodziliśmy przez tory do działającego jeszcze wówczas zakładu, po rodziców. Naprzeciwko fabryki stało zawsze kilka straganów, taki mały targ na ulicy Fabrycznej pod niewielką wiatą. Przeważnie udawało

się wyprosić od ojca lub matki parę złotych na jakiegoś kolorowego lizaka albo na kapiszony. Później wracaliśmy wielkimi, rodzinnymi grupami do domów, przechodząc wzdłuż ulicy Tkackiej, obok kwadratowych blozków wielorodzinnych i jednego wielkiego „dreszczowca”, czasami wpadaliśmy jeszcze na oranżadę przy rondzie, do baru *Słoneczko*. Część męska, czyli nasi ojcowie, raczyli się tam piwem, wódką i tanim winem. Wszędzie panował gwar, śmiechy i wszechobecny dym tytoniowy. Niektórzy kilka razy do roku chodzili niedaleko *Słoneczka*, do fryzjera „Kancika”. Fryzura modna w tamtym okresie dla chłopców to „jeż” lub „zapalka”, połowa dzielnicy cudów wyglądała jak bracia. Byli i tacy, którym włosy strzygli rodzice, ci wyróżniali się spośród wszystkich. Byli obcięci od miski, gara lub głębokiego talerza na zupę. Polegało to na tym, że przeważnie stary któregoś z nas przepuścił kasę w *Stonku* lub innym barze, a w domu brał nożyczki do ręki, przykładając michę do głowy i ciął w ramach oszczędności nasze włosy dookoła głowy. A jak stary michy nie przyłożył, to włosy były ścięte krzywo. Fryzura taka miała swoją nazwę, mówiło się, że ojciec opitolił takiego delikwenta „na zaczarowany ołówek”. Takich zaczarowanych ołówek w załbek czesanych, chodziło po naszym mieście i dzielnicy wielu.

Sporo z nas było także „absolwentami” przedszkola i zerówki, które działały w tamtej okolicy. Więc i tam dokazywaliśmy na placach zabaw, a gdy się znudziło, biegaliśmy po ogródkach działkowych, skąd nas przeganiało jak plagę szarańczy i biegliśmy dalej na górki, za którymi płynął bystry, rwący strumyk. Ten strumień często wylewał na wiosnę na przylegające łąki. Więc budowaliśmy tratwy i próbowaliśmy pływać na nich, niejednokrotnie wpadając po pas do wody. Budowaliśmy tam też szalasy

i pułapki na wymyślonych wrogów, a często też na pijaczków, którzy zawędrowali na nasze tereny. Czasami za dużym Budzyniem odbywały się turnieje rycerskie, robiliśmy repliki z długich gałęzi, a rumaki miał nasz kolega.

Pepe, bo tak wolaliśmy na tego kumpla z ulicy Bocznej, a raczej jego tato, miał małe stadko owiec i hodował też świnie. Te zwierzaki były naszymi rumakami, a jak komuś udało się ujeździć baranka, to był już rycerzem lub kowbojem, jak się patrzy. Gorzej, jak ktoś jeździł na warchlaku, to ubaw był po pachy. Kwik świń i „beeczenie” baranów oznajmiało, że na dzielnicy dzieciaki bawią się w wojowników.

Najlepszą paczkę stanowiło trzech kolegów, którzy mieszkali w małym trójkącie stanowiącym centrum dzielnicy. Jego bokami, a raczej granicami, były między innymi dawna trasa E 12 wraz z rzeką Klikawą, tory kolejowe idące od końcowych nasypów, znajdujących się przy ogrodzie naszego kolegi Stefana i w końcu część drogi Bocznej, która krzyżując się z ulicą Tkacką, przechodziła w górkę, którą nazywaliśmy „dużym Budzyniem”.

Wewnątrz trójkąta mieliśmy także kilka poniemieckich kamienic, sporo sąsiadujących ze sobą podwórek, które w czasie deszczu zmieniały się w błotne sadzawki, a w zimie w zamrożone tafle z wystającymi kamolami. Gdy było gorąco, to tumany czarnego piachu i kurzu ulatywały do góry. Podwórka otoczone były kamienicami, bądź potężnym murem z PKP albo komórkami, w których ludzie trzymali różne szpargały, czasami węgiel, meble, a czasem ktoś przerabiał je na kibelki, bo w mieszkaniu i na korytarzu nie miał na to miejsca. Z jednym z nich jest związana historia,

która zapewne znajdzie się w tej zacnej publikacji. Był także nowoczesny blok, który ktoś następny „mundry”, jak ten od regulacji rzeki, wpięprzył pomiędzy stare budownictwo. Duży plac przed PKP oraz plac za budynkiem przy torach, który służył do wyładunku węgla i innych dóbr przywiezionych z dalekiego centrum kraju lub ze śląskich kopalń. Oczywiście, nie mógłbym także nie wspomnieć o „krzakach”. Krzaki to był zdziczały ogród poniemiecki, w którym od zawsze bawiliśmy się i zbieraliśmy owoce, dziś już niestety wycięty w pień.

To wszystko stanowiło nasz mały świat, naszą Dzielnicę Cudów. A przedstawicielami Dzielnicy Cudów byli Stefan, Jerzy i Anastazy.

Jurek i Jastrząb

Jurek pochodził z wielodzietnej rodziny, jak ja, a takich rodzin na naszej dzielnicy było kilkadziesiąt, a może więcej. Jurek miał chyba ósmioro rodzeństwa, Stefan sześcioro, u Pieti było pięcioro, a to tylko rodziny z naszej najbliższej okolicy. Większość tych rodzin żyła biednie, choć każdemu starczało na podstawowe produkty i artykuły pierwszej potrzeby. Różnice materialne niebyły tak wielkie, większość praktycznie miała to samo, ale kwestią było to, że jedni rodzice nie pili, a inni już tak. Nasi należeli do tej drugiej kategorii.

Chłopak był najstarszy z rodzeństwa i z tego, co pamiętam, to zawsze pomagał rodzicom w ogarnięciu młodszych dzieci czy „zdobyciu” czegoś do domu. Szczupły, czarne włosy ścięte na zaczarowanego ołówka, o brązowych oczach i wesolym usposobieniu. Mieszkał tak jak my w starej poniemieckiej kamienicy. Zbudowana była z cegły, miała ciemne piwnice, w których były studnie. Natomiast strych zbudowany został z solidnych, potężnych, drewnianych bali. Każda rodzina mieszkająca w poniemieckich kamienicach miała zazwyczaj dwa duże pokoje, kuchnię i łazienkę na korytarzu, chyba że ktoś sobie przerobił i bez pozwolenia dołączył toaletę do swojego mieszkania. To wszystko ogrzewane było piecami węglowymi, a raczej typowymi śmieciuchami, bo palono w nich wszystkim, czym się dało. Były i takie piece, które pamiętały czasy wujka Adolfa. Węgiel przywożono wózkami lub furmankami ze składu opału, czasami też rodzice z dziećmi kradli je wprost z wagonów, które dostarczały węgiel ze śląskich

kopalni. Często odbywało się to w porozumieniu z tymi, którzy tam pracowali. Chłopaki potrafili zwałować węgiel nawet z samego składu, który nie był zabezpieczony w jakiś szczególny sposób. Zresztą za flaszkę można było „kupić” worek lub dwa, wystarczało na jakiś czas. Węgiel wrzucano do piwnicy, a stamtąd przenoszono go w wiaderkach, kubelkach czy metalowych wanienkach na wyższe piętra, gdzie ktoś miał piec. Na pewno do tematu węgla i jego kradzieży wróć.

Z tego, co pamiętam, Jurek miał piec w odrębnej części korytarza, oddzielony od reszty budynku. Zimą piece nagrzane były do czerwoności, ale podwójne drewniane okna w mieszkaniach przepuszczały ciepło, które spierdziało szczelinami na zewnątrz. Dlatego nasi rodzice uszczelniali te okna, czym się tylko dało. Wkładali pomiędzy nie, stare koldry, swetry i inne części niepotrzebnej już garderoby. Wszystko po to, by utrzymać w domu potrzebne ciepło. Wielodzietna rodzina Jurka także radziła sobie w ten sposób. W jego mieszkaniu, jeden największy pokój przedzielono szafami tak, by oddzielał część dziewczęcą od chłopięcej. Pokój rodziców robił za salon i jadalnię, gdzie stał stary telewizor Rubin. Przed telewizorem na wieczorynkę lub film zasiadały całe rodziny, zwłaszcza w niedzielę. Mieszkanie Jurka oraz sąsiadów dzieliła taka odległość, iż można było odnieść wrażenie, że mieszczą się w osobnych skrzydłach kamienicy.

W większości nasi rodzice pracowali w największym zakładzie w miasteczku, o którym wspominałem wcześniej, czyli nieistniejącym już KZPB*, tłumaczonym przez rodziców na „Kurewski Zapierdol Przy Bawelninie”. W rzeczywistości był to zakład przemysłu bawelnianego, w którym pracowało około pięć tysięcy osób. Pensje były mame, matki

pracowały jako tkaczki, sprzątaczkę, a ojcowie na stanowisku ślusarza czy mechanika itd. Zakład funkcjonował dzień w dzień na trzy zmiany, aż do czasów pierestrojki Balcerowicza, ale o tym też później. W każdym razie na dzielnicy mówiono, że ci, co tam pracują, są jak murzyni na plantacji bawełny. Realia wyglądały nieco inaczej jak to za komuny. Robotnicy tylko udawali, że pracują, a dyrekcja sprawiała pozory, że im płaci i jakoś to szło. Plan był wykonany, załoga i kierownictwo zadowoleni.

Czasami mamusie wysyłały swoje pociechy, aby szły po ojców do zakładu i bezpiecznie odeskortowali do domu na obiad. Działo się tak zwłaszcza po wypłacie. Jednak do zakładu prowadziły dwie główne bramy i kilka mniejszych przejść, furtek, nie wspominając o dziurach w płocie. Włęcz często tatusiom udawało się ominąć dziecięce czujki i przemknąć niezauważenie przez pobliskie działki lub kamienice do „źródłka”.

Tata Jurka i inni ojcowie, często wracając z pracy i uciekając przed wysłanymi po nich dziećmi, zahaczali o Słoneczko, gdzie szybko wychylali kilka kielonków lub kufli piwa. Później poprawiali w barze na naszym trójkącie albo szli jeszcze dalej do Besedy, kolejna znana i klimatyczna mordownia w miasteczku. Pito także na działkach i po melinach, w krzakach i za górkami, gdzie kto znalazł miejsce. Alkohol w tamtych czasach sprzedawano oficjalnie od trzynastej, bo przez jakiś czas władza walczyła z ogólnym pijaństwem w narodzie. Efekt był taki, że szybko powstawały chałupnicze bimbrownie. Jednak przy dobrych kontaktach ze sklepikarkami, barmanami, „swoi” nie mieli problemu. Poza tym, na naszym trójkącie prosperowało kilka melin, w tym dwie dość znane, które limitu czasowego nie miały, a sprzedaż różnego rodzaju wynalazków własnej roboty

i oryginalnych trunków, odbywała się przez całą dobę. Najbardziej znanym trunkiem był *czarny mózgojeb*, czyli wino na bazie denaturatu i tytoniu od Czamula. Recepturę tego wynalazku nasz meliniarz zabrał ze sobą do krainy wiecznych łowów.

Właścicielem jednej z nich był wspomniany imię Czamul, a drugiej niejaki Kropenicki. Czamul był ojcem jednego z naszych kolegów, który w dzieciństwie przeprowadził się z matką do innego miasta. Drugi to gość, którego bały się wszystkie dzieciaki. Był ogromny! Milczący i groźny wielkolud! Jedno oko miał białe, ślepe, a na głowie siwe i przeredzone włosy, kuśtykał wsparty o lasce. Pamiętam, że miał psa, którego karmił sporadycznie i trzymał na łańcuchu przed domem. Pies podobny był do właściciela lub odwrotnie. Czworonóg też był ślepy na jedno oko, miał wypłowiałe i wytarte futro koloru bliżej nieokreślonego i także kuśtykał. Rasy zaś był nijakiej, ale zębiska miał ostre jak kły Drakuli. Wabił się chyba Kropka, tak żeśmy chujca nazywali.

O Kropenickim dzielnica szeptala, że to stary UB-ek był, ale my nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Może dlatego, że milicja nigdy do niego nie zajężdżała, a innych meliniarzy ganiała non stop, w tym także Czamula. Ale ten swoje aparaty chował tak, że nie pamiętam, aby zarekwirowano mu coś innego oprócz butelek z alkoholem. Do tego towarzystwa można dodać jeszcze starą Śliwkę, kobietę mieszkającą na piętrze w kamienicy nr 25. Zawsze trzymała na balkonie jakieś zgniłe warzywa. Służyły jej jako amunicja na nas, podwórkową holotę, bachory i małe pijawki, jak „pieszczotliwie” wydzierała się z balkonu w naszym kierunku. Kobieta gruba, przypominająca sylwetką gruszkę, którą zapamiętałem jako ciągle rozdarta

i rzucającą, wspomnianymi zgniłymi warzywami w dzieciaki z dzielnicy cudów.

Kiedy bawiliśmy się z kolegami na podwórku, graliśmy w piłkę albo państwa-miasta (taka starożytna gra, której dzisiejsze dzieciaki i gimby raczej nie znają! A szkoda) to ona, znaczy Śliwka, ze swego balkonu wykrzykiwała.

– Smarki jebane, czego drzecie te ryje!

Nie pozostawiliśmy jej dłużni i rzecz jasna też ją zwyzywaliśmy, wtedy odwdzięczała się rzutem zgniłym warzywem w naszą stronę. Rzucala do czasu, aż skończyły się śmierdzące pociski albo straciła dech w piersi. To drugie następowało znacznie szybciej, później sterczała na balkonie, spoglądając na nas z góry i dysząc, a my tańczyliśmy wtedy jak Indianie, którzy wzywają Manitou, by im sprowadził deszcz. Niestety, szybciej nadchodził łomot od starych, obrywaliśmy za wyśmiewanie się i wyzywanie starszej pani. Dla nas była starą wiedźmą, ale wtedy każda starsza osoba, która na nas krzyczała, obrzucała obelgami czy szła na skargę do rodziców, była jędzą. Niestety nasi starzy tego nie rozumieli, nakazywali mówić „dzień dobry” do tych wiedźm, targać im zakupy, węgiel i kłaniać się na ulicy w pas. Co było robić? Rodzice byli świętością, nikt nie odważył się podważyć ich zdania. Węc robiliśmy, co kazali, a jak nie widzieli, to oczywiście, gdy zostaliśmy zaatakowani słownie lub zgniłym pomidorem, odplacaliśmy się pięknym za nadobne. Jednak każdy dorosły miał tę przewagę, że mógł na nas wymusić poprawne i kulturalne zachowanie. Nikt wtedy o nas nie mówił, że jesteśmy dobrzy czy piękni, nie wspominając o nazywaniu piesszczotliwie aniołkami. Po pierwsze, był to obciach dla chłopaków, o czym mama i tata

wiedzieli, a takie pierdoly były zarezerwowane dla dziewczyn. A po drugie albo byśmy wyśmiali tego, który nas tak nazwał, albo on sam by się zśukał ze śmiechu. Wszystko było prostsze. Chłopak to chłopak, a dziewczyna to dziewczyna, normalne i naturalne jak w przyrodzie.

Swego czasu Jurek dokonał bohaterskiego wyczynu...

W pewne wakacje przyjechała na cudowną dzielnicę kuzynka naszej kumpeli. Imponowała nam, bo jak opowiadała, śpiewała kiedyś w zespole „Fasolki”. Dla nas, dzieciaków z małego miasteczka, to było coś!

Graliśmy wtedy w jakąś grę na podwórku, chyba nawet wspomniane wyżej państwa-miasta. Gra polegała na tym, że rysowało się potężne koło na środku podwórka i dzieliło się je na tyle części, ilu było graczy. Każdy zawodnik nazywał swoją połówkę, nazwą jakiegoś państwa lub miasta. Osoba, która została wylosowana, otrzymywała piłkę. Zajmowaliśmy swoje miejsca, a ten z piłką wyrzucał ją w górę, wtedy wszyscy uciekaliśmy jak najdalej od koła. Ten, który rzucał gałą w powietrze, musiał jeszcze wypowiedzieć nazwę wybranego przez siebie państwa lub miasta. Co było trudne, bo należało to zrobić, zanim piłka spadnie na ziemię. Na przykład wypowiedział – Chiny. Gracz, którego część w kole tak się nazywała, miał za zadanie złapać jak najszybciej piłkę. Jak mu się to udało, wtedy krzyczał – stop! Wszyscy zatrzymywali się i nie można było się poruszyć. Osoba będąca najbliższą tego, co miał gałą lub znajdowała się w pobliżu koła, obrywała. Trafionemu zabierano się część jego państwa lub miasta, a to w ten sposób, że patykiem, równocześnie stojąc na swojej części, zakreślało się, jak najdalej mogło, jego państwo. Jeśli nie trafił, to odbierano mu część terytorium z koła. Odpadał ten, który stracił swoje pole. Wygrywała osoba,

która pokonała wszystkich i zgameła całe kolo dla swego państwa. Przy tej grze było dużo biegania, krzyków i kłótni, ale też śmiechu.

Jak to bywało w takich okolicznościach, ubrudziliśmy się cali w czasie gry. Pod balkonem starej Śliwki była pompa, która działała, a woda nadawała się do picia i mycia. Nikt wtedy nie myślał o jakichś tam bakteriach czy wirusach. Daga, bo tak w skrócie miała na imię kuzynka naszej koleżanki, chciała umyć sobie ręce, więc chcąc jej pomóc, Jurek zaczął pompować wodę. Machał wajchą w tę i z powrotem, gdy nagle usłyszał nad sobą, trzaskające drzwi balkonowe. O balustradę oparła się gruba jęcza i niespodziewanie szybko, jak na jej wielką tuszę, wyjęła coś ze stojącego tam kosza, usłyszeliśmy tylko świst. Jurek odepchnął Dagę od pompy, a śmierdząca, zgniła cebula rozbryzgnęła się o bok jego głowy z głośnym plaśnięciem, tak jakby krowa nogi z błota wyciągała.

– A masz gówniarzu jeden! – krzyknęła stara jęcza i schowała się w mieszkaniu, trzaskając drzwiami z impetem.

Myśleliśmy, że Jurek zaraz się popłacze, taką miał minę. Ale chłopak nie płakał, bo chyba nie bolało, tylko ten smród... No i oczywiście kumple. Jak zobaczyliśmy minę kolegi, to laliśmy ze śmiechu, ile wiało. Mówiąc dosłownie, tarzaliśmy się po ziemi. Jurek chyba się naprawdę grupio poczuł, bo i tak też wyglądał.

– He, he – rzeliśmy jak konie.

Za to Daga, jak przystało na uratowaną damę, pocałowała go w policzek, po czym spojrzała na niego, mówiąc:

– Dziękuję Jurku. – I jeszcze raz dała mu buziaka, ale takiego dłuższego i pobiegła do domu.

Wycalowany spojrzal na nas, a my na siebie i jeszcze raz ryknęliśmy śmiechem, tylko głośniej.

– Ła-ha, ha! – Jeden to się nawet posikał, taki mieliśmy ubaw.

Jerzy burknął pod nosem:

– Z czego się śmiejecie debile?! – I też uciekł do domu, bo jakoś tak poczerwieniał, jakby mu się gorąco zrobiło, a poza tym zgniła cebula skapywała mu z włosów.

Jeszcze kilka dobrych tygodni kumple darli łacha z chłopaka. Choć przyznam, że byliśmy zazdrośni o ten wyczyn. Za to Daga... Och, Daga, pamięta to do dziś i często wspomina Jurka.

Wracając do gangu, jaki stworzyli nasi koledzy, to niekwestionowanym szefem był najstarszy z nich, czyli Stefan. Jego ojciec prowadził gospodarstwo rolne na dzielnicy, w którym miał krowy i świnie. Mieszkał z całą rodziną, zajmując dużą kamienicę, mieli także obory, stajnię, stodołę oraz dwa ogrody i sporo zwierząt. Stefan miał brata o wiele starszego, który był znanym w mieście mordobijcą. Może właśnie dlatego jak się z nim biliśmy, to przeważnie wygrywał. W stałym składzie gangu był Jurek i Anastazy, najlepsi kumple z dzielnicy. We trzech tworzyli prawie nierozłączne trio. Czasami, któryś z chłopaków starał się przejąć dowództwo, raz był to Jurek, a za drugim razem Anastazy, ale Stefan ustawiał ich do pionu. Po takim incydencie jakiś czas się gniewali, ale później znów we trzech było ich wszędzie pełno. Mieliśmy wrażenie, że jak

otworzymy w domu szafę na ciuchy czy lodówkę, to któryś z nich stamtąd wyskoczy, tacy byli żywotni i obrotni. Dziś powiedziano by, że mają ADHD. Jurek, najbardziej uparty i zawzięty, ale też uśmiechnięty, w głowie miał zawsze mnóstwo kawałów, które opowiadał lub robił nie tylko kolegom. Stefan jako najsilniejszy rzucał pomysłami, przez które często wpadali w kłopoty. Anastazy zaś był jak mały motor, napędzał trio, żywy jak złota rybka.

Do gangu czasem dobierali innych, w tym i mnie. Oczywiście o ile mamy nam pozwoliły, choć nikt nie pytał, ale zawsze jakimś cudem dowiadywały się, że znów pałętamy się z trzema *amigos*. Nie wiedzieć czemu matki zazwyczaj zabraniały, aby ktoś się z nimi kumpłował. Wielu żałowało, bo w ich towarzystwie nie można było się nudzić. Włęcz po kryjomu każdy się z nimi kolegował i próbował im zaimponować. Jednym z takich dobranych, był Grucha, który sprowadził się na naszą dzielnicę z za rzeki. Miał dwóch znacznie młodszych od siebie braci, którzy nie nadawali się do grupy, jeden w pieluchach, a drugi w przedszkolu. Grucha miał krzywy nos, opowiadał kiedyś, że spierdolił się ze schodów w starym domu i wówczas wtedy mu się skrzywił. Nam się wydawało, że po prostu ktoś mu jebnął nocą, w którejś z naszych kamienic, ale to nic pewnego. Fajny chłopak, ale szybko się gniewał, o wszystko.

Z Gruchą wiąże się kilka zdarzeń, z których zawsze się śmiejemy z kumpłami. Jedno z nich przyniosło Gruszkowi zaszczytne miano „jastrzębia z Dzielnicy Cudów”. Pamiętam, jak swego czasu dostał na komunię rower górski, kiedyś to było coś, każdy marzył o takim sprzęcie.

Pewnego razu, żeby zaimponować chłopakom i wkupić się w łaski gangu, jeździł na rowerze w tę i z powrotem. Pod górkę ulicą Świerczewskiego na PKP i w dół na mostek w kierunku piekarni. Na mostku stała ferajna, czyli nasz małełtni gang i patrzyli, jak Grucha się popisuje. Każdemu żal ścisłal serce, że on tak jeździ, a oni stoją jak te ciule, oparci o barierki. Spoglądali na rzekę, udając, że wcale nie patrzą na jego popisy na góralu.

– Stefan – powiedział Jurek – patrz, jak zaraz się wypierdoli!

Słownictwo jak na dzieci z Dzielnicy Cudów, jak najbardziej normalne, a gdyby któryś powiedział inaczej, to wysmiałiby, że lalusz, maminsynek i po prostu ciul. Władomo, ciulem nikt nie chciał być.

– Nie wypierdoli – odpowiedział Stefan i strzyknął śliną na ulicę. – Ale góral, kulwa, żebyłm ja takiego miał. Na starej Ukrainie muszę zapierdzielać, krowy gonić. Dobrze jeździ, nie wypierdoli – dodał.

W tym momencie Grucha zawrócił spod PKP i z całych sił pedałował w ich stronę, coraz szybciej i szybciej...

Pochylił głowę do przodu, a jego garbaty nos przecinał powietrze niczym indiańska strzala. Z daleka, z tym krzywym nosem wyglądał jak jebany jastrząb, chłopaki prawie słyszeli świst przecinanego nosem powietrza.

Jechał wprost na nich, spojrzeli po sobie z niemalym zdziwieniem i pewnym strachem w oczach.

– Głupi, jaki czy co? – powiedział Anastazy.

Dziesięć, dziewięć, osiem metrów, a ten pedałuje dalej i mocniej.

– No rozjedzie nas w chuj! – krzyknął Jurek.

Siedem, sześć, pięć...

Widać już przekrwione ze zmęczenia oczy Gruchy. Chytry uśmiech zagościł na jego twarzy. Cztery, trzy, dwa...

Grucha szeroko się uśmiecha i nagle... Widowisko! Chłopak leci w powietrzu.

No kurwa – pomyślał sobie Jurek. – Jastrząb poleciał.

Rozłożone szeroko ramiona, uśmiech zniknął z jego twarzy, a oczy otworzył tak szeroko, że stojący myśleli, że wylecą mu z orbit, wyglądały jak dwie piłeczki pingpongowe. Grucha zrobił fikółka w powietrzu tak, że niejeden akrobata, by się nie powstydzil. Głowa poszła w dół za rękami, a nogi poszły wysoko w górę.

– Kulwa! – krzyknął Stefan.

– Wpadnie do rzeki! – krzyknął Anastazy.

Ruszyli na pomoc nieszczęśnikowi, wszystko trwało ułamki sekund, a wydawało się, że to wieczność. Grucha w powietrzu, oni zrywali się do biegu, a stopy ciężkie jak z betonu.

I jebudu, lecący Grucha zawisł nogami na barierze, oddzielającej drogę od rzeki, która była jeszcze kilka metrów niżej niż ulica. Przydzwonił w nią całym swym ciężarem, głośniejszy niż dzwon w Kościele Św. Katarzyny. Głowa w dole, nogi powykrzywiane na barierze.

Jebany jastrząb zamknął oczy i westchnął.

– Ee-echh! – stęknął głośno i zawisł ostatecznie w bezruchu na metalowym plotku jak jakiś jogin.

Nagle drugi, jeszcze głośniejszy dzwon w barierki, chłopaki schylił głowy ze strachu, że coś zaraz im je wyrwie. To rower, którym pędził, stanął dęba metr od nich, ułamek sekundy po kolarzu, przekoziolkował w powietrzu i walnął kilka metrów dalej od chłopaka.

Wystraszeni podbiegli do Gruchy.

– Co ty-y, co-oś ty o-oo-dje-ebba-ał? – wyjąkał przestraszony Jurek.

Razem ze Stefanem podnosili nieszczęśnika z ziemi.

– Nic ci nie jest? – zapytał Anastazy.

– Kur-kur-w-wa... – wyjąkał przestraszonym głosem Grucha. – Hamulce mi się pomyliły.

Chłopaki o mało Gruchy nie puścili ze śmiechu, jebany kolarz-rajdowiec, jastrząb z Dzielnicy Cudów, zamiast hamulca tylnego wcisnął przedni i go momentalnie przerzuciło przez kierownicę. Mało brakowało, a poszczaliby się ze śmiechu. Za to łzy poleciały teraz gęsto, przy tej ogólnej wesołości. Klepali siebie i jastrzębia po ramionach, choć jemu nie było do śmiechu. Patrzył na nich jak na idiotów i oczywiście o mało się nie obraził. Na szczęście nic mu się nie stało, ale fakt faktem Grucha zawsze miał pecha i musiał coś spierdolić.

Do gangu czasem należeli też bracia Kloss. Wyglądali jak bliźniacy, ale różnica wiekowa między nimi wynosiła około półtora roku. Należeli do jednych z bogatszych dzieciaków na dzielnicy i nie zawsze mogli się z nami kolegować, nie ta „klasa” i oczywiście rodzice im zabraniali.

Z doskoku do grupy należał też Kapeć – chyba Jurek najbardziej się z nim kolegował. Pomieszkiwał czasami w jego kamienicy u swojej babci. Był grzecznym chłopcem, zawsze siedł z babcią za rączkę na zakupy. Jak ktoś mu dokuczał na podwórku, to na całe gardło wykrzykiwał w kierunku okna dziadków.

– Ba-abc-iiu! Dzia-aa-adku-uu! A Stefan mnie bije! – Albo coś w tym stylu.

Pamiętam, że kiedy Kapeć był u dziadków, to Jurek chodził do niego oglądać filmy, zwłaszcza *Wnnetou*, bo w domu albo miał karę i nie mógł, albo prąd im wylączali lub jego rodzice właśnie przepijali kolejną wypłatę. Czasami we trzech bawiliśmy się żołnierzykami, które Kapeć miał z Pewexu. To był jednak dobry kolega i można było na niego liczyć, o czym przekonał się nieraz.

Niekiedy do naszego gangu dołączał też Czamy, syn Czamula z meliny. Niestety rzadko z nami ganiał, bo ojciec zawsze wynajdywał mu jakieś inne zajęcia. Rąbał drzewo na opał, nawet latem, obierał ziemniaki i takie tam różne dziwne dla nas rzeczy nakazywał mu robić. Po latach dowiedziałem się, że wszystko, co zlecał Czamul synowi, było podyktowane pod jego meliniarską działalność. Na przykład rąbał drwa w lecie, bo potrzebne były na opał do podgrzania zacieru, który robił z tego, co przygotował mu syn. Czasem z ziemniaków, zboża lub kukurydzy i innych tajemniczych składników, w tym z tytoniu.

No i chyba ostatnim dzieciakiem w naszej bandzie był Pietrek, który mieszkał w jedynym na dzielni bloku, gdzie znajdowała się też apteka.

Tu nasuwa się ponownie pytanie, jaki kuma geniusz architektoniczny, wpadł na pomysł, by wybudować nowy budynek pomiędzy starymi, niemieckimi kamienicami? No ale za komuny wszystko wyglądało na naszej dzielnicy jak jeden wielki surrealistyczny pierdólnik.

Owszem mieszkali tu i inne dzieciaki, które przeprowadziły się później albo po prostu rodzice zabraniali im spotykać się z nami. Pamiętam braci „Jama”, dużego i małego. Do tej pory duży jest duży, a mały jest mały. Bracia „Górale”, fajne chłopcy. Był też „Balon”, z którym wiele przygód łączy nas do dziś, ale które działy się znacznie później niż czasy Gruchy-jastrzębia. Było moje rodzeństwo, Jurka, siostry Stefana, kuzynki Dagi, Bartoszek, Tarasek, Pinokio - brat Anastazego, trzy siostry z kamienicy nr 25, rodzeństwo Pietrka, siostra Czarnego - Lidka, ludzie zza rzeki, bracia Przepiórki i Wiertłot. A także wielu innych, o których na pewno wspomnę innym razem.